



BEZPŁATNY DODATEK DO „WIARUSA“ NR 26 DLA DZIECI RODZIN PODOFICERSKICH

# ŁOŚ ORLAT

ROK II

WARSZAWA, 25 CZERWCA 1939 ROKU

NR 25

## NA ŚWIĘTEGO JANA



WIANKI NA WISŁE

### Święto morza

Dzień świętojański, dzień sobótek i wianków jest zarazem tym uroczystym dniem, w którym cała Polska radośnie cześci „Święto Morza“.

Dnia 10 lutego 1920 roku zaślubiliśmy Bałtyk ponownie, po długich mrokach niewoli, zaślubiliśmy — tym razem na zawsze!

A choć ten skrawek morskiego wybrzeża nikły jest w porównaniu z ogromem naszego państwa, ledwo kilkadziesiąt liczy kilometrów — to jednak ten brzeg bursztynowy jest dla nas droższy ponad życie i nikt i nic wydrzeć go nam nie zdoła!

Naprawiając zaniedbania dziejowe naszych praocjów, którzy — dufni w swą siłę lądową i bogactwo swych łąnów pszenicznych, nie dbali, niestety, o sprawy morskie i nie poparli mądrych zamierzeń tych naszych królów, którzy i od Bałtyku Rzeczpospolitą umocnić i rozbudować chcieli, przez tych lat 19, Gdy Pomorze, a wraz z nim

(dalszy ciąg na stronie 2-iej)



POLSKI GDAŃSK



## ŚWIĘTO MORZA

(dokończenie ze strony 1-ej)

i wybrzeże zjednoczyły się z resztą Polski, zrobiliśmy tam wszystko, na co tylko zdobyć się mogliśmy. Ba, zrobiliśmy więcej! Dokonaliśmy wysiłków ogromnych, z których dumni być możemy.

Tam, gdzie w roku 1920, kiedy to jazda nasza wkraçała na te ziemie, w wieczyste obejmując je posiadanie, rozciągało się pustkowie, zabudowane zrzadka rozsianymi chałupkami kaszubskich rybaków, a mizerny przystanek kolejowy poczerniała tablicą w obcym języku mówił, że tu oto znajduje się mało komu znana wioska „Gdingen“ — stał się nagle cud i wyrosła wspaniała Gdynia. Nasza dumna i radość, nasze okno na świat. Zbudowaliśmy to miasto nadmorskie i ten wspaniały port nowoczesny, by uniezależnić się od kapryśnego Gdańska, który podjudzany przez Prusy, wbrew oczywistemu swemu interesowi, szkodził nam na każdym kroku. Traktat wersalski uczynił go Wolnym Miastem, włączonym gospodarczo i politycznie w obszar interesów Rzeczypospolitej, stanowiącej jedyne i racjonalne zaplecze Gdańska. Lecz pełna swoboda kulturalna i administracyjna nie wystarczała mu. Chciał zrazu być wolnym państwem, co w języku niemieckim niewielką tylko zmianą pisowni się uwidacznia, a ostatnio — przeżarty przez imperialistyczne hasła hitlerowców, domaga się powrotu do Rzeszy Niemieckiej.

Lekceważąco wrzuszali zrazu Niemcy ramionami, gdyśmy przystąpili do budowy Gdyni. Dziś — nawet i oni w głębi duszy z szacunkiem spoglądają na nasz wysiłek.

Już pływają po morzach statki pasażerskie i towarowe z polską banderą. Ale mało ich jeszcze. Musimy liczbę tych „pociągów morskich“ uwielokrotnić.

Gdynia jest portem wspaniałym, gdzie zastosowano ostatnie wynalazki techniczne. Ale port ten, wystarczający może nam przed kilku laty, okazuje się dziś za mały, za ciasny, wobec wciąż wzrastających obrotów towarowych z całym światem i coraz większej ilości statków ze wszystkich nieomal krajów europejskich i zamorskich, zawijających do Gdyni. Musimy więc port ten wciąż rozbudowywać.

Wzrosło w społeczeństwie przez te lata zrozumienie znaczenia spraw morskich. Rozszerzyły się nam horyzonty. Pojęliśmy wszyscy, że bez morza Polska nie jest w stanie istnieć. Propaganda, prowadzona tak wytrwale przez Ligę Morską i Kolonialną, liczącą z roku na rok więcej członków, coraz nowe zastępy Polaków zbliża do Bałtyku.

Ale sama Liga powtarza nam wciąż, iż bez kolonii państwo tej miary co nasze, żyć nie może. Kolonie bowiem — to surowce, konieczne dla naszego przemysłu i życia gospodarczego. Jeśli chcemy raz wreszcie uniezależnić się pod tym względem od obcych i przestać opłacać srogi haracz z krwawicy naszego chłopa i robotnika, to musimy zdobyć dla siebie własne obszary zamorskie, czyli kolonie.

Aby nasz handel zamorski i nasze przyszłe posiadłości kolonialne zabezpieczyć, a równocześnie obronić nasze wybrzeże i porty przed każdym atakiem — rozbudować też musimy i siły zbrojne Polski na morzu. Nasza flota stanie się tym pancernym ramieniem polskim, osłaniającym naszych ludzi i nasze interesy wszędzie tam, gdzie polska powiewa bandera.

O tym wszystkim przypomnieć się godzi w dzień święta morza. Młode pokolenie Polaków, które idzie, trud ten musi wziąć na swe barki!

## GDAŃSK — POLSKIE OKNO NA SZEROKI ŚWIAT

Gdy przez szereg godzin siedzimy w mieszkaniu, którego okna i drzwi są pozamykane, odczuwamy brak powietrza i mówimy, że jest nam duszno. Trudniej wtedy przychodzi nam praca, a najbardziej odbija się to na naszym zdrowiu.

Jak dla naszego zdrowia, normalnego rozwoju i pracy, dla naszych płuc, konieczny jest dopływ świeżego powietrza, tak dla normalnego rozwoju państwa i narodu konieczny jest dostęp do morza. Bez niego państwo posiadałoby bardzo trudne warunki rozwoju i również jakby się dusiło.

Morze jest naszym łącznikiem z całym światem. Ma ono ogromne znaczenie zwłaszcza w okresach ciężkich dla naszego handlu i przemysłu. Gdy z powodu różnych ograniczeń nasz handel z najbliższymi sąsiadami wciąż się kurczy, okręty nasze i obce, zawijające do naszych portów, na cały świat rozwożą dzieła polskiej wytwórczości, odnajdują nabywców i stamtąd przywożą potrzebne nam surowce.

Posiadanie morza i własnej floty morskiej ma jeszcze jedno ważne znaczenie. Polacy są rozsiadani po całym świecie. Wśród obcych żyje przeszło 8 milionów naszych rodaków. Nasze okręty docierają do tych wszystkich skupisk i są dla nich łącznikami z ich daleką Ojczyzną.

Mamy dwa wielkie okna na ten szeroki świat, dwa wspaniałe porty polskie: Gdańsk i Gdynię. Wszyscy chyba znacie Gdynię, młody ten polski port liczy tyle zaledwie lat, co niejeden z was, młodzi czytelnicy.

Gdańsk — to odwiecznie stary port Rzeczypospolitej. Różne on przechodził koleje losu. Pięknie rozwijał się za czasu długiej przynależności do Polski, dopóki wyrosły na polskiej krzywdzie wróg — Krzyżak, nie skierował swych niszczycielskich zapędów na to miasto. Najbardziej ucierpiało ono przez 600 lat, kiedy to Krzyżacy dokonali w Gdańsku okrutnej rzezi. W dniu św. Dominika otoczyły wojska krzyżackie miasto, w którym właśnie odbywał się wielki jarmark. Znalazły się wówczas na nim tłumy ludu polskiego z całej okolicy, a nawet szlachta, przybyła tu z daleka w celach handlowych.

Wskutek zdrady grupy mieszkańców Gdańska narodowości niemieckiej, przez otwarte bramy wtargnęli rycerze krzyżacy do miasta i rozpoczęli wielką rzeź, nie oszczędzając nikogo, ani kobiet, ani starców, ani nawet dzieci. Pijane żołdactwo krzyżackie dokonywało swych barbarzyńskich okrucieństw nawet na stopniach ołtarzy, mordując szukających tam schronienia. Dzień ten zacieżył wielką hańbą na tych, którzy jakby dla urągowiska nazwali się zakonem krzyżowym.

Ale Polacy odebrali swój port z ręki krzyżackiego najeźdźcy i długo znów rozwijał się pod opiekuńczymi skrzydłami Rzeczypospolitej, aż przyszło mu podzielić los innych ziem polskich i leć obcym.

Ślady tej polskiej przeszłości Gdańska można i dzisiaj oglądać w tym mieście. Zabytki, świadczące o żywej łączności historycznej Gdańska z Polską spotykamy tu niemal na każdym kroku. Jest kilka wspaniałych budowli, wzniesionych przez przybywających często do Gdańska królów polskich: Władysława IV, Sobieskiego i innych.

Orla Białego można spotkać w Wolnym Mieście bardzo często, zarówno w gmachach użyteczności publicznej, kaplicach i kościołach, jak również na ścianach dawnych domów rybackich.

Wielką opieką otaczał Gdańsk król Zygmunt August, za co wdzięczni mieszczanie umieścili jego posąg na szczycie najwyższej w mieście wieży ratuszowej. Znacznie więcej, niż nazewnątr, mamy zabytków polskich w Gdańsku, poukrywanych wewnątrz kościołów, bibliotek, archiwów i muzeów. W zbiorach gdańskiej mennicy znajduje się na przykład piękny medal ku czci oręża polskiego, wybitny na pamiątkę zniesienia niewoli krzyżackiej miasta.

A gdy król August III nadał gdańszczanom duże przywileje cehowe, ufundowali mu piękny posąg, przedstawiający króla w stroju rzymskiego cesarza.

Dawny Gdańsk umiał być wdzięczny Rzeczypospolitej za doznawane przywileje i opiekę. Dzisiejsi mieszkańcy Wolnego Miasta, choć mają również wiele powodów do szczególnej wdzięczności w stosunku do Polski, nie okazują jej należycie, a może im jej okazywać nie pozwalają ich rzekomi opiekunowie, za których się uważają potomkowie ich dawnych ciemiężców — Krzyżaków.

Mimo zakusów nowożytnego krzyżactwa na nasz nadwiślański, a zarazem morski port, mimo czynienia z ich strony różnych kroków celem odłączenia Wolnego Miasta od polskiego organizmu politycznego i gospodarczego, cała Polska stoi mężnie, silna i zwarta, by w razie potrzeby odeprzeć obce łapy, sięgające po to nasze okno na świat. Cała Polska gotowa jest dać napastnikowi taką samą odprawę, jak przed kilku stuleciami pod Grunwaldem. Bo odwiecznie polski port morski, zbudowany i bogacony przez Polaków, do nikogo innego, jak tylko do Polski należyć musi.

To też dzisiaj całemu światu możemy odpowiedzieć znanymi nam wszystkim słowami wielkiego Mickiewicza, dostosowanymi tylko do nowych warunków: „Gdańsk, miasto niegdyś nasze, zawsze będzie nasze!“

Cz. M.



## ZAŚLUBINY Z MORZEM

Wszyscy kochamy nasze polskie morze, siny Bałtyk bez kresu, bryzgający białą pianą o piaszczyste brzegi. I mewy, polujące na ryby. I wielkie okręty. I kutry rybackie, i Kaszubów — naszych braci. Kochamy nasze morze, bo łączy nas ze światem, jest naszą potęgą i chlubą.

Nic dziwnego, że rokrocznie obcnodzimy bardzo uroczyste „dzień morza”, począwszy od 1920 roku, gdy wojsko polskie zajęło Pomorze i doszło do granic dawnych, polskich wybrzeży Bałtyku. Wtedy to generał Haller rzucił w morze symboliczny pierścień na znak wieczystej przynależności do Polski.

„Zaślubiny z morzem” sięgają bardzo odległych czasów rzezypospolitej weneckiej. Odbływały się w dzień Wniebowstąpienia wśród niezwykłych uroczystości. Na morze wypływał doża na gondoli, kwiatami przybranej, zwanej „Bucentaur” i wrzucał do wody pierścień, mający wyobrażać zaślubiny państwa z morzem. Pierwszy taki pierścień ofiarował Wenecji papież Aleksander III w roku 1172 w podzięce za gościnność, której udzieliła mu Wenecja w czasie wojny z wrogiem.

Z biegiem czasu Wenecja zaczyna chylić się ku upadkowi, aż w roku 1797 Napoleon Bonaparte zajął całe miasto, „Bucentaura” kazał spalić na znak zniszczenia potęgi i tradycji rzezypospolitej.

Od tej chwili zaprzestano uroczystości zaślubin z morzem i zabaw z nimi związanych.

En.



Adam Włodek z Krakowa, nasz miły i częsty korespondent, przysłał nam znów swój wiersz, tym razem naprawdę bardzo piękny. Drukowaliśmy go w rubryce „Utwory naszych czytelników”. O artykuliki prozą na tematy aktualne bardzo prosimy. A może weźmiesz udział w konkursie?

Wieczorkiewicz Edward z Pińska przysłał nam ciekawą swą pracę o junackich hufcach szkolnych. Zamieścimy ją w jednym z najbliższych numerów. Ale zdjęcia, które załączyłeś, niestety, niezbyt udane. Może na przyszłość postarasz się o lepsze i ostrzejsze fotografie?

Jerzy Wolezyk z Łodzi, syn starszego sierżanta — to też nasz stary znajomy. Kwitujemy odbiór twych kilku wierszy. Tendencja ich bardzo szlachetna, ale co do formy — mielibyśmy nieco zastrzeżeń. Może któryś z nich wydrukujemy! Ale jeszcze raz prosimy ciebie i wszystkich naszych czytelników o pisanie utworów do druku tylko po jednej stronie, druga zostawiając czystą. Czyż tak bardzo oszczędzać musicie na papierze?

Ryszard Staniewski z Sulejowa przysłał nam muzykę pod wiersz „Panieli” — pamiętacie tę miłą panią, drodzy czytelnicy? Wiersz p. t. „C.K.M. jedzie!” — drukowany był w Nr. 24 naszego piśmka w roku zeszłym. Oddaliśmy specjalście-muzykowi, by nam powiedział, czy ten utwór zasługuje na wyróżnienie, jeśli odpowiedź będzie korzystna — to może wydrukujemy. Tylko czemu te nuty są pisane tak nieporządnie? Prosimy zarazem kompozytora o bliższe szczegóły o sobie.

### UTWORY NASZYCH CZYTELNIKÓW

#### PUC I BURSZTYN

W pewnej zagrodzie,  
Żyły dwa psy w niezgodzie.  
Puc był grzeczny i inteligentny,  
Bursztyn za to był obojętny.

Razu pewnego Bursztynie mały  
Wzwał do kurnika, gdzie kury zeszły danie miały.  
Gdy zobaczyła to panna Agatka,  
Dalej no na tego gagatka.

Bursztyńcio ukarany poszedł spać,  
A Pucunio poszedł do kuchni mięso kraść.  
Lecz i tam się znalazła panna Agatka  
I wygnęła drugiego gagatka.

Biedny Pucus poszedł do budy.  
W budzie były wielkie brudy.  
Posprzątał czyściuteńko,  
W zgodzie i w spokoju położyli się miluteńko.

Henryk Nowaczyk

ucz. kl. VI szkoły powszechnej



2)

Dni mijały jeden po drugim, jak szalone. Kuliśmy teraz po całych nocach różne teorie, bo zbliżyły się ostatnie egzaminy i nominacja. O Bodychu i wirazach wszyscy zapomnieli. Lataliśmy tylko raz w tygodniu, żeby nie wyjść z wprawy. Pamiętam doskonale, że nawet siedząc w maszynie, gdzieś na wysokości może tysiąca metrów, przepowiadałem sobie w pamięci jakąś część regulaminu służby wewnętrznej. Nogę wycofywało się automatycznie, czego najlepszym dowodem był fakt, iż wszyscy żyli. Bodych, gdy był obecny na starcie, nic nie gadał, czasem tylko siadał do maszyny i na paru zaledwie metrach podciągnął ją w pięknym wirazie, jakby chciał nam pokazać, jak powinien on naprawdę wyglądać.

Przyszły w końcu ostatnie egzaminy. Przebrnęliśmy je szczęśliwie, zrodziły się jednak nowe troski i zmartwienia. Tu zaznaczyć trzeba, iż ambicją każdego z nas było zostać w przyszłości pilotem myśliwskim. Było to jednak uzależnione w dużej mierze od tego, jaką opinię otrzyma się od instruktorów ze szkoły.

Osobiście wiedziałem, iż poprzedni instruktorzy nie mieli co do mnie żadnych zastrzeżeń. Ale Bodych? Te jego wiraze? Zawsze był tajemniczy i... i co tam nabazgrał o mnie w tym swym zszyciku? To właśnie było pytanie, na które nie umiałem dać sobie odpowiedzi i co gorsza nie miałem się przedko dowiedzieć, bo aż dopiero w pułku po dłuższym w nim pobycie.

Uroczysta msza św. dobiegała końca. Przed ołtarzem, na tle ustawionych rzędem świecących, wyczyszczonych płatowców, stał w szeregu ostatni rocznik już w mundurach oficerskich. Obok młodzi koledzy, przed nami goście, generalicja i dowództwo. Atmosfera była naprawdę podniosła, szczególnie dla nas. Wchodziliśmy w świat, w życie, już jako prawdziwi lotnicy. Wszystkie trudy szkolne zostały gdzieś daleko, budząc tylko wspomnienie mniej lub więcej miłych chwil, spędzonych w tych murach. Co będzie dalej, zobaczymy. Teraz pożegnanie, miesiąc urlopu i wypoczynku.

Następnie odbył się uroczysty wieczór koleżeńki.

Co to znaczy, wie chyba dobrze każdy, kto kiedyś Podchorążówkę kończył.

Rozejrzałem się po załoczonej sali. Bodycha nie było. W końcu przyszedł i stanąwszy na boczność podszedł ku nam.

— Panie poruczniku, meldu...

Skoczyliśmy, jak oparzeni.

— Szefie, zwariowaliście?! Komu szef się melduje, nam, swym uczniom?

Coś tam chciał jeszcze mówić, ale nie daliśmy mu dojść do słowa. W czasie rozmowy spytałem go ze śmiechem (byliśmy już rzecz prosta na „ty”): — No, stary, jak tam było z tymi wirazami? Spoważniał w jednej chwili, popatrzył na nas i powiedział:

— Chciecie naprawdę wiedzieć?

— No, chyba!

— Ale to dość długa historia.

— Nic nie szkodzi, posłuchamy chętnie!

Siedzieliśmy w gabinecie wokół starego sierżanta i słuchaliśmy ze skupieniem.

— Widzicie, cała ta heca zaczęła się jeszcze wtedy, gdy byliście, po prostu mówiąc, szczeniakami, ja zaś kończyłem szkołę lotniczą pod Berlinem. Był to rok 1914. Szkolono nas trochę inaczej, niż dzieje się to obecnie. Siadałeś, bracie, na szkolnego grata i sam jeździłeś tam i nazad po lotnisku, utrzymując kierunek w linii prostej. Gdyś to opanował, pozwalano robić ci małe skoki w powietrze, stopniowo coraz większe i dłuższe. Tam trzeba było mieć czucie i zmysł! Wiadome było powszechnie, przy tym systemie szkolenia, że albo wyjdzie się ze szkoły jako doskonały pilot, albo odwołają cię na cmentarz. Innej drogi nie było.

Już po paru pierwszych dniach okazało się, że ja i mój kolega Antek kwalifikujemy się na żyjących, czyli inaczej mówiąc, na dobrych pilotów. Kolega, ten o którym mówię, był to także Polak, serdeczny mój przyjaciel jeszcze ze szkoły pod Poznaniem. Razem wzięto nas do wojska, razem przeniesiono potem do lotnictwa. Zawsze trzymaliśmy się kupy.

A więc, jak już powiedziałem, szkolenie szło naprzód. Umieiliśmy już przelatywać w linii prostej całe lotnisko, lądując następnie mniej lub więcej umiejętnie. Do dziś dnia nie wiem, jak podwozia mogły wytrzymywać te nasze lądowania! Maszyna leciała na wysokości paru metrów, przepadała, odbijała się po kilka razy, po czym ciężko siadała, grzechocząc wszystkimi okuciami.

(c. d. n.)



## W SZKOLE POLICYJNEJ

Z początku rady sobie dać nie mogłem. Żarła mnie tęsknota za moim miłym, młodym panem. Nie chciałem jeść, ani pić, chudłem i posępny, rzucałem spodełka zię spojrzenia na wszystkich.

Lecz czas działa, jak lek. Zwolna poczęłem przyzwyczajać się do nowego mego otoczenia i zmienionych warunków.

Dopomogła mi w tym wielce dobroć i doświadczenie wytrawnego hodowcy, w którego ręce się dostałem. Był to niejaki pan Wojciech Sikora, starszy przodownik, który wytresował niejednego czworonoga na dzielnego pomocnika policji i obrońcę ludności przed złoczyńcami.

Myślałem, że za moją złą wolę i niechęć do nagięcia się pod obowiązujące przepisy będzie mnie bił, lub znęcał się nade mną. To też za każdym jego do mnie zbliżeniem warczałem głucho, szczerząc moje ostre kły, choć nie miałem właściwie żadnego istotnego ku temu powodu. Przeciwnie, mój wrodzony psi instynkt mówił mi, że ten nowy mój pan to człowiek dobry i szlachetny. Karmiono mnie też zdrowo i smacznie, poślanie miałem czyste i dość wygodne, a wymagania były początkowo niewielkie.

Było nas, czworonogów, sporo. Wszystko wilki lub dogi. Lecz i od towarzyszy moich trzymałem się początkowo z daleka, choć niejeden z nich na rannych ćwiczeniach usiłował nawiązać ze mną przyjazną pogawędkę. Lecz ja z dumną miną udawałem, że tego nie rozumiem.

Pan przodownik sam dozorował mego karmienia. Obserwował mnie też bacznie. Początkowo nic do mnie



nie mówił, tylko patrzył we mnie tak, iż musiałem spuszczać łeb i odwracać oczy. Warczałem jednak dalej.

Ktoregoś dnia przyniósł mi smaczny kąsek i zawołał, bym poszedł i wziął z jego ręki. W odpowiedzi wyszczerzyłem zęby. Wtedy zbliżył się do mnie i rzekł łagodnym głosem o przyjemnym brzmieniu:

— No, Rexiu, weź, zapewniam cię, że nie pożałujesz. To smaczny kąsek!

Zły i nastroszony cofnąłem się o parę kroków. Wtedy pan Sikora wyciągnął rękę. Odpowiedziałem jeszcze groźniejszym warknięciem.

— No, więc ugryź, kiedy chcesz! — zawołał i zbliżył się do mnie, w lewej ręce trzymając kawałek smakowitej kości, a prawą usiłując mnie pogłaskać. Wtedy chwyciłem zębami tę rękę. Lecz on jej nie cofnął i ani nawet drgnął. Więc złagodniałem i machnąłem dość niepewnie ogonem.

— Dobry pies, poczciwy pies, swego pana gryźć nie będzie! Potem rzucił mi kość pod nogi i spokojnie odszedł. Przysiadłem i poczęłem zrazu nieufnie obwąchiwać smaczny kąsek, a potem rozgryzać go w swych potężnych szczękach.

Nazajutrz powtórzyła się ta sama scena. Tym razem nie warczałem już i zjadłem przyniesiony mi przysmak odrazu.

Prawdziwa przyjaźń z nowym panem zaczęła się od tego dnia, kiedy przy porannej nauce skaleczyłem się dość dotkliwie w łapę. Początkowo udawałem, że mi nic nie jest. Ambicja kazała mi dalej brać udział w forsownych ćwiczeniach. Nie chciałem być „łazikiem“ i „markirantem“, jak nazywano w naszej szkole te psy, które naumyślnie wykrecały się od pracy. A nie brakło takich, choć wysmiewali ich dozorcy, a nawet w naszej psiej gromadzie, gdzie ceniona była przede wszystkim odwaga i sprężystość ruchów, otaczano ich powszechną pogardą.

Lecz z chwili na chwilę rana dolegała mi coraz bardziej. Począłem, niestety, kuleć i zostawać w tyle. Dostrzegł to wreszcie zany pan Wojciech, delikatnie ujął mą łapę, obejrzał ją troskliwie i pokiwał głową.

— Niedobrze z tobą, Rex, musisz przerwać ćwiczenia!

To mówiąc wziął mnie za obrozę i zaprowadził do weterynarza. Ten zbadał zranienie, oczyścił łapę, posmarował jakąś maścią i obandażował. Przez kilkanaście dni byłem zwolniony od lekcyj, a mój pan codzień własnoręcznie opatrywał mi nogę. Z wdzięcznością patrzyłem na niego i witałem go teraz codzień radosnym szczeknięciem i wymachiwaniem ogona. Czułem też, jak

spuchnięta już porządnie tupa goi mi się z dnia na dzień pod staranną opieką przodownika. To też po opatrunku lizałem jego ręce z oddaniem. Chętnie też bym i po twarzy jego przejechał się dżugim moim jęzorem, ale pan Sikora ze śmiechem bronił się przeciwem temu, mrużąc pod sunięciem wąsem:

— A leżcie spokojnie, Fydle utrapione, i tak mi się ręce lepia od twych psich czułości. No co, piesku, lepiej ci z tą łapą? A widzisz, stary Sikora nie taki zły, jak myślałeś, ha? A z początku to byłbyś mnie pożarł żywcem, co, głupie psisko?

Wykrecałem łbem na wszystkie strony i stroiłem uciészne miny, chcąc tym wyrazić moje ubolewanie za początkową dzikość i nieprzystępność.

Za to, gdy wreszcie wyzdrowiał, nie było odemnie chyba lepszego ucznia w całej szkole. Sam pan przodownik Sikora przyznawał z dumą, pokazując mnie kolegom, iż wiernością i oddaniem wyróżniam się spośród wszystkich jego dotychczasowych uczniów.

— A rasowa bestia, jak rzadko. Ja wam mówię, że to wilk prawdziwy. Nie daj Boże dostać mu się na zębiska!

Niebawem nauczyłem się już wiele: a więc, by nigdy nie jeść nic od nikogo obcego. Uczono tego w ten sposób, że kawałek mięsa podawano prawą ręką na ostrym szpikulcu, który w chwili, gdy się już chciało połknąć przysmak, boleśnie kłuł w podniebienie. I tak wszystkie psy w szkole zapamiętywały na całe życie, iż kęs z prawej — to ból, a tylko z lewej można jeść bezpiecznie. Poza tym oswajano nas codzień z hukami strażów, uczono tak rzucać się na rękę uzbrojoną w nóż, lub broń palną, by przez odpowiednie naciśnięcie zębami jej przegubu zmusić napastnika do otwarcia ściśniętej dłoni i opuszczenia na ziemię morderczego narzędzia. Nauczono nas też, byśmy natychmiast łapą przytrzymały upuszczoną na ziemię broń, uniemożliwiając przestępcy, by po nią ponownie sięgnął.

Najbardziej jednak lubiłem ćwiczenia z przeciwnikiem, odzianym w grube kozuch i rękawice, który udawał przestępcę. Należało błyskawicznie skoczyć do gardła, lub z tyłu na plecy i obalić wroga na ziemię, by go unieszkodliwić.

Lecz najtrudniejsze ćwiczenia zaczęły się pod koniec okresu szkolenia: była to nauka tropienia zbrodniarza po śladzie. Odgrywał tu główną rolę nasz psi węch. Podsuwano nam pod nos jakiś przedmiot, należący do przestępcy a następnie musieliśmy iść po tropie. Niełada to było zadanie. Nasi instruktorzy utrudniali nam je jeszcze, zacierając te ślady i prowadząc nas po różnym, często bardzo trudnym terenie, jak gładki bruk ulicy, łąka, polana wodą po zostawieniu na niej śladu, a wreszcie gubienie go w rzecze lub stawie. Tam gdzie węch nie wystarczał — trzeba było pomagać sobie wzrokiem i inteligencją.

Nieraz, gdy biegałem jak oszalały w kółko wokół ostatniego tropu zrozpaczony, iż mi się tak nagle urwał, rozlegał się nademną spokojny głos mego pana:

— No, pomyśl piesku, gdzie ten drab mógł uciec stąd? Patrz, przed tobą asfaltowana, prosta droga. A tam, dalej, zakręt i kępa drzew. Widzisz? Jak myślisz, doład pobełgł przestępca?

Przysiadalem na tylnych łapach i z przekrzywionym łbem, słuchałem uważnie słów przodownika, rzucając równocześnie bystre spojrzenia wokół siebie.

Wreszcie — zrywałem się i pędziłem, jak strzała do owej kępy drzew, oblatując ją wokoło coraz mniejszymi kęgami.

Radosne krótkie szczeknięcie. Jest ślad! Tędy!

Szczekania wogóle, a już specjalnie donośnego, głupiego ujadania wiejskich kundysów oduczano nas surowo. W policyjnej służbie pracuje się cicho.

Pan mój, zziąjany, dopędzał mnie i chwalił krótkimi, urywanymi słowami:

— Dobrze, Rex, doskonale, tędy, naprzód!

Z radośnie zadartym ogonem biegłem dalej po odszukany tropie. Miałem widocznie wrodzone zdolności w tym kierunku. Praca, jakiej oddawałem się z zapałem, cieszyła mnie wielce.

— To zupełnie coś innego, niż mój bezroski, ale i nikomu nie użyteczny żywot poprzedni, we dworze. — myślałem nieraz. Wspomnienia zacierały się jednak zwolna, choć czasem śniłem o mym miłym, młodym paniczku i wtedy wzdychałem przez sen.

— Ocho — mówił wówczas pan Wojciech, jeśli mnie zastał w tej sytuacji — nasz wilk marzy o dawnych, dobrych czasach, co?

Lecz prawdę mówiąc — to obecny mój byt był o wiele bardziej interesujący, niż dawniej.

Toteż nie posiadałem się z radości, gdy mi pewnego dnia zapowiedział pan przodownik Sikora, że niebawem weźmie mnie z sobą w teren, na próbne ćwiczenia, tym razem już przeciw prawdziwym przestępcom.

Nowa, rozpoczynająca się dla mnie służba wytresowanego już psa policyjnego pociągała mnie bardzo.

Niejedną ciekawą przygodę miałem przeżyć w najbliższym czasie!

T. M. Nittman

WYDAWCA: WOJSKOWY INSTYTUT NAUKOWO - OŚWIATOWY

Redaktor naczelny: Jerzy Ciepeliowski, kapitan

Zastępca naczelnego redaktora: Wacław Szmagier

Redakcja i Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Swiat 23/25. Telefony: Redakcji 231-72, Administracji 304-69. Konto PKO 22.144